Nr. 49. We Lwowie dnia 9. grudnia 1900. Rok 8.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Marjan Kochanowski,

ZAPOMNIANY POETA ROMANTYK.

(Wyjątek z większej całości[1])

Marjan Kochanowski urodził się w Królestwie, we wsi Mianowie, dnia 25 lutego r. 1847. Jako syn zamożnych rodziców otrzymał wychowanie bardzo staranne; najpierw w domu, później w szkołach, w Lublinie i Warszawie. Wątły i słabowity, chory od urodzenia, z zarodkami suchot w piersi, rwał się do życia i pieśni. A miał przyjaciół w tej samej atmosferze, co i poeta, wychowanych, tym samym duchem tchnących, pełnych zapału i poświęcenia. To też twórczość poety rozkwita: pisze dramaty i wiersze ulotne, najwpanialsze liryki, próbuje poezji opisowej. Jednak pierwiastki pessymizmu i żalu do świata i ludzi, pierwiastki tęsknoty i bólu żywem drgają echem już w pierwszych jego poetyckich próbach.

Tymczasem nadszedł rok 1863; rodzice Kochanowskiego, dotknięci konfiskatą majątku, musieli opuścić Królestwo. Poeta udaje się w kilkuletnią podróż; zwiedza Grecję, Włochy i Hiszpanję; na wzgórzach Tanzylipu w Neapolu wylewa wspaniały zdrój swych uczuć, w Ceucie marzy o swej ojczyźnie i rodakach, jej losie i przyszłości.

Wreszcie wraca do kraju, lecz nie do Królestwa, bo tam nie miał poco, lecz do Galicji. I tu, po kilkudniowym zaledwie pobycie umiera na chorobę piersiową, której ni słoneczne niebo Italji, ni skwary wschodu ulgi przynieść nie mogły. Umarł 17. września r. 1868, przeżywszy lat zaledwie 20 i spoczywa pochowany w Krasiczynie.

Jakkolwiek tak młodo umarł, jednak puścizna jego literacka jest — powiedzieć można — ogromna. Są tam dramaty, liryki, są wiersze luźne, jest powieść; jest dramat patrjotyczny, pisany pod widocznym wpływem Kordjana, jest inny dramat, zawierający pierwiastki społeczne. A chociaż tu i ówdzie ulega poeta, nawet bardzo, wpływowi Mickiewicza, Słowackiego lub też Krasińskiego, to jednak zdolność tworzenia jest tak wielka, zwłaszcza gdy zważymy młody wiek poety, że szkoda, by człowiek tej miary w zupełnem pozostawał ukryciu.

* * *

Biorąc pod uwagę pierwsze dramata, przychodzimy do przekonania, że u poety poczęła się wyrabiać pewna typowość. Ofiara przyjaciela, kara niewiernej małżonki lub też kochanki, to były główne jego typy kreacji, które tworzył w miarę doznawanych od świata zawodów. Zresztą i nie dziw, bo był czas w życiu poety, że inne uczucia i myśli, prócz tym podobnych, nie miały do jego duszy przystępu. Wówczas w dramatach swych wylewał całą swą duszę, wszystkie jej bóle i zawody. To był jedyny dlań sposób skargi, bo przed światem skarżyć się nie mógł, gdyż ten go nie pojmował. I ten świeży poniekąd element, nierozumienie przez świat człowieka — poety i artysty — i opaczne pojmowanie wszystkich jego celów i dążeń, uwidocznił poeta i przyoblekł w szatę poetyczną w swym trzecim dramacie „Adrjan Broor“. Jak w pierwszym z nich przeniósł nas poeta w kraj Arpadów, a w drugim w zaciszną krainę Litwy pogańskiej, tak tu jesteśmy znowu w stolicy mistrzów flamandzkich Antwerpji. I mamy przed oczyma małego Adrjana, bo zaledwie trzynaście lat liczącego, marzyciela i poetę, artystę w całem tego słowa znaczeniu, drugiego Orcia z „Nieboskiej“ Krasińskiego. Wychowany na łonie natury, zżył się z nią, nauczył się ją pojmować i kochać, a ona mu dostar-

[1]) Jest to druga część obszerniejszego studjum. W pierwszej zajmuje się autor charakterystyką poety i rozbiorem jego dzieł z pierwszego okresu twórczości.

cza wzorów na płótno, udziela mu natchnienia, zrobiła z niego artystę:

„Kiedy wieczorem wyjdę na próg chatki,
„Wkoło mnie cicho, posępnie i głucho...
„W trawie ukryte szeptają coś kwiatki,
„Ja przy nich siadam i nadstawiam ucho...
„I kwiatek każdy piosenkę mi śpiewa —
„Od lipy wielkiej, niezabudki małej.
„Polna różyczka w sukieneczce białej
„Wonna i drżąca — ona się spodziewa,
„Że za minut kilka
„Zobaczy motylka!
„Piękna nadzieją, a kochankiem blada,
„O swej miłości piosnkę mi powiada...
„Lecz darmo czeka — kochanek skrzydlaty
„Gdzieś tam do innej umizga się dziewy,
„Zalotnik, biega w koło naszej chaty,
„Ogląda kwiatki, rośliny i krzewy —
„Oczkami inna wabi go dziewczyna,
„O biednej róży całkiem zapomina. .
„Ona przedemną wylewa swe żale
W czyściuchnej łezce — mówią, że to rosa,
„Nie wierz, braciszku, nie wierz temu wcale:
„To łzy, nie woda, co sieją niebiosa —
„I o boleści swojej mi powiada —
„A piosnkę kończy jednem słowem: zdrada...!

Lecz Adrjan miłość swą całą nie tylko wlał w kwiaty i naturę, serce swe oddał również i przyjacielowi, a tym jest Samuel. A Samuel pokochał dziewczynę i ma ją poślubić, i z tego powodu boleść Adrjana nie ma granic. On sądził, że oni obaj sercem zespoleni, że jeden wyłącznie do drugiego należy. Chorobliwa natura nie może znieść podziału serca przyjaciela, gdyż zdaje się jej, że od tej chwili tenże go kochać przestanie. Lecz stosunki się wkrótce zmieniają. Malarz Hals, zobaczywszy obrazek, ręką Adrjana malowany, przybywa do jego matki, kobiety ubogiej, by wziąć Adrjana do siebie na naukę, w nadziei, że będzie z niego ciągnąć dobre zyski. Matka zgadza się, choć boleśnie dla niej pożegnać dziecię i mówi:

„Panie — zanim go weźmiesz, musisz poznać przecie,
„A powiadam ci dziwne — dziwne to jest dziecię —
„Dobre, ciche, potulne, przecież za me grzechy
„Pan Bóg żadnej mi z niego nie dał dziś pociechy.
„Za ciasno mu w tej chacie —
„Dzień cały biega w górach i goni ptaszęta —
„Lub rwie kwiaty. Wieczorem w pokrwawionej szacie
„Wraca i z płaczem do mnie wyciąga rączęta —
„Powiada: Mamo, ratuj lilję albo różę —
„Lub ptasze w gniazdku, lub gwiazdkę na niebie —
„Wiatr szumi w górach, pewno niesie burzę —
„Gdzie się skryją ptaszęta — kwiateczki?—u ciebie,
„Pod dachem naszej chaty. I za ręce chwyta
„I prowadzi w bezdroża, gdzie lilja rozkwita.
„On maluje obrazki—ja prosta kobieta —
Hals: To warjat moja Pani — jeśli chcesz — poeta.

Los Adrjana już postanowiony. I tu daje nam poeta scenę piękną i rzewną. Ludzie go zrozumieć nie mogli, natura jedna pojęła i zrozumiała. A w chwili, gdy jej wychowaniec, a zarazem i piastun ma ją porzucić, przemawia do niego głosem swych ptasząt. Jest to śpiew kukułki do matki:

„Nie płacz, matko!...
„Jest jedno ptaszę między ptaszkami,
„Co płacze pieśnią, jak człowiek łzami —
„Słowikiem się zwie!...
„Jest człowiek jeden, zmarły dla świata,
„Wieniec męczeński skroń mu oplata.
„Poetą się zwie!...
„Człowieka płacze karmi duch Boży,
„Musi ten śpiewać — kogo tak stworzy —
„Nie płacz matko, nie!
„Darmo chcieć zmienić Boże wyroki:
„Pan już ich wezwał między proroki
„I dla ich pieśni dał świat szeroki. —
„Nikt ich nie pojmie, nikt nie rozumie,
„Nikt łez boleści otrzeć nie umie,
„Źle im tu źle!...
„Lecz gdy godzina śmierci wybije,
„Prorok męczeństwa Bogiem ożyje,
„Więc nie płacz, matko, dziecięcia, nie!...

I Adrjan został malarzem. Zdala od matki, zdala od tych wzgórz i łąk, kwieciem posypanych, na których prześnił i przemarzył dziecinne swe lata, widzimy go w pracowni artystą. Natchnienie mu piersi rozsadza, myśl wielka i wspaniała śpi w łonie natchnionego artysty, nie mogąc się ztamtąd dobyć na światło dnia. A on tak chciałby tworzyć, chciałby przelać to, co czuje, w kształty tak piękne i wielkie, jak ogrom jego natchnienia:

„A ono śpi w głębi piersi!
„Ztąd, ztąd się wyrywa,
„A gdy chwytam za pędzel, chcę wylać na płótno,
„Te postacie, co tu śpią,
„Myśl, co tu spoczywa,
„Jakaś spaczona, dziwna, wygląda tak smutno,
„Jak nagi suchy szkielet....
„O! gdzież twoje ciało!
„Gdzie wy, duchy, pieszczone wyobraźni mojej!...
„W drodze z piersi na płótno wszystko z was zleciało.
„Dzieci kochane moje! — moje ideały!...
„Czyż brak wam życia jeszcze — brak piękna i siły?
„Wszakżeście życie wasze z mojej piersi ssały —
„Czyż ono w was zmarło, a szaty pogniły?!...
„Ja życie moje całe przelałem w was dzieci,
„Każden rys formy waszej to jeden rok życia —
„I gdy nareście na jaw wynijdzie z ukrycia,
„Zamiast widzieć aniołów, widzę trochę śmiecia.
„Ach! gdybym mógł Was z piersi dobyć nieskalane—
„Wielkie marzeń potęgą — natchnieniem promieni,
„Czyste, bo z złota myśli czystego ulane—
„Wieczne, bo geniuszem wieczności brzemienne —
„Gdybym mógł was tak całe zatrzymać na płótnie
„I ożywić was duchem, a natchnieniem wskrzesić —
„Tobym pokruszył pendzel, jak śpiewak swą lutnię —
„I umarł!... bo już więcej nie umiałbym zgrzeszyć.
„Boże! i gdzież ta siła, co z nicestwa tworzy,
„Z nicestwa myśl wieczności, z prochów sama siebie,
„Jak nieśmiertelny feniks!
„A nią jest duch Boży!

„A ta siła—ta siła! gdzie ona jest? — w niebie!
„Pocoś mnie stworzył, Panie, kiedy duch mój cały,
„Obdarzony wielkością, chryzmem namaszczony,
„Zamknąłeś w piersi tylko i tam niewzruszony
„Spać musi wiecznie — czemu? bo człowiek tak mały,
„A Bóg taki potężny!...
„Gdyby z piersi progu
„Ten duch wydarł się na świat — światyby zadrżały
„I człowiek — proch! nicestwo! byłby równym Bogu.
„Czemu wlałeś go w piersi — gdzie, jak serce w dzwonie,
„Uderza wielkim głosem — pierś mu odpowiada,
„Bo pusta—i głos cichnie, jak w pękniętej strunie —
„A pierś wiecznie zamknięta — wiecznie trwogą blada.
„Wiecznie w niej tylko echo tętni uderzenia,
„A — tej dzwonu skorupy przebić nie jest w stanie —
„Boli! i dźwięk jej każdy zostawia wspomnienia
„O! daj jej siłę twórczą — daj! o Panie — Panie!...

I taki wspaniały hymn natchnienia, hymn, który godnie mógłby stanąć obok najpiękniejszych piesni młodzieńczych Słowackiego, wyrwał się z duszy śpiewaka. A w nim odzwierciedlił on to, co czuł: tę miłość wielką, jaka obejmowała świat cały. Wprawdzie ustęp ten nie jest wolny tu i ówdzie od naśladownictwa i widocznego wpływu, jednak mimo to jest tak wielki i oryginalny, to łamanie się okutego ducha ludzkiego z takim artyzmem odtworzone, że można go zaliczyć do najlepszych poezji poety.

Adrjan, malarz-poeta, walczył z swem natchnieniem o stworzenie dzieła wielkiego, w którem by się „odbijał duch, którego cząstkę człowiek wziął od nieba“. I stworzył rzecz taką, lecz w tej chwili Harals zabrał mu ją, by ją sprzedać mimo oporu, błagania i próśb artysty.

„Zabrał mi te obrazy? czyliż będę w stanie
„Stworzyć inne? pierś gore, lecz ręka omdlewa —
„Siły się wyczerpały — o Panie mój, Panie!
„Ratuj! dusza twej łaski jeszcze się spodziewa,
„Daj mi jeszcze natchnienie!

Lecz nie stworzył już nic podobnego. Brakło „tego ognia, co piersi rozpala i świeci, jak próchno szkieleta“, zwłaszcza iż mu doniesiono o ślubie Samuela. W następnej scenie widzimy go, po upływie lat kilku, w szynku zapijającego się. Natchnienie w piersi ugrzęzło, nie był w stanie już więcej tworzyć i rzucił się w objęcia rozpaczy i nędzy. Na tem kończy się dramat, którego myślą przewodnią odwieczna walka więzionego ducha ludzkiego z górnemi jego porywami i natchnieniem, a akcesorjum: niezrozumienie i wzgarda świata dla człowieka-poety. Dramat ten tworzy punkt kulminacyjny w twórczości poety. Dotychczas niewolniczy naśladowca, wyrabia sobie własną formę. I jak przedtem miłość ludzka w rozmaitych jej objawach była przedmiotem jego twórczości, tak teraz po przełamaniu się ze sobą i walce wewnętrznej Adrjana-poety, poeta obiera inne drogi dla swego ducha. Chwila ta stanowi przełom między miłością indywidualną poety a miłością ojczyzny. W dalszej jego poezji napróżnoby szukać zdradliwych kochanek i zdradzonych kochanków; miłość ojczyzny i poświęcenie całkowite, bez granic i wszelkich śladów samolubstwa poety dla niej, oto są tematy dalszych jego pieśni.

Dramat ten rozpoczyna drugi okres twórczości poety, okres, obejmujący przeszło rok jeden, od czasu opuszczenia kraju aż do śmierci. Omawiając ogólne oznaki twórczości Kochanowskiego, rzuciłem już światło i na ten czas, tak bujny i świetny, przerwany w największym rozkwicie przedwczesnym zgonem piewcy. Dusza poety, krępowana więzami cenzury w kraju, rwała się do pieśni wielkiej i potężnej, jak grzmot, do pieśni żalu i boleści, miłości i nadziei. To też wyrwawszy się z piekła:

„Po jakiem piekle nie wodził Dantego
„Ani duch Beatryczy — ni cień Wergilego —
O! bo gdyby w to piekło na chwilę wkroczyli —
„Pewno jużby nie wrócił Dante, ni Wergili,

gdyż: „szatan nawet tych mąk nie wymyślił
„W potędze swej mądrości, ni w katusz zapale,
„Jakie w czasu postępie stworzyli Moskale! —

odetchnął poeta pełną piersią i wylał z swej duszy w krótkim czasie to, co ona kryła przez lat tyle, zanucił pieśń miłości ojczyzny dla ojczyzny i wetchnął w nią całe swe czucie i myśli. A pieśń tę poświęcił owym wielkim, którzy go tak kochać nauczyli, „lutni słowiańskiej sierocym piastunom“, przed którymi wylewa swe skargi i bole, gdyż:

„Jak żniwiarz po roli,
„Kłos złoty po świecie,
„I wszystko co boli
„On zbierał.,.

A jako tułacz, zbierał on bóle i żale i układał je w pieśń, gdyż innej mu nucić nie wolno.

„A za to, gdy może
„Nadzieja zaświta,
„Gdy błysną nam zorze,
„Pierś smutkiem spowita
„Wolności zanuci hymn święty.

I gdy ta chwila zaświta, gdy „błysną zorze“, on zanuci pieśń wielką i gorącą, „jak miłość, która mu piersi rozsadza i świeci, jak próchno szkieleta“, ale tymczasem musi nucić żałośnie. Takie żywiąc uczucia, stworzył „Lutnię“, „Co kocham“, „Wianeczek“ „Szkic do poematu,“ „Lubię“, „Na mogile“, „Ballady“, „Nie komedję“, i inne.“

D. n. *Stanisław Kosowski.*

ALOJZY JIRASEK.

CHODOWIE.

Obraz historyczny.

XVI.

Kozina chodził, jak struty. Maskaradowy żart, na złość Lammingerowi wyprawiony, zgasił w nim wszystko wesele. Przeczuwał, że nic dobrego stąd wyniknąć nie może i ubolewał nad lekkomyślnością ludzką.

Tymczasem dni i tygodnie mijały, nie przynosząc żadnych zmian. Słonko poczęło cieplej i dłużej dogrzewać, w dolinach śnieg tajał, na brzeżkach, zwróconych ku południowi, jęły się wysuwać zielone piórka trawy, na wierzbach błysnęły bazie srebrzyste. Wiosna szła w gości ku Chodom, gdy pewnego wieczora Jan wrócił do domu, wzruszony, uradowany, pełen najlepszych nadziei.

Hanka odetchnęła z głębi piersi, gdy usłyszała nowinę, którą przynosił. Wójt Syka otrzymał z Pilzna wezwanie, aby wszyscy obywatele chodzkiej krainy stawili się pojutrze na zamku terhanowskim, gdzie ma im być ogłoszony wyrok komisji wiedeńskiej. A więc pojutrze miały się już skończyć niepokoje, troski, nieszczęścia! Jak nieskończenie długim wydawał się ostatni ów dzień i noc, dzieląca od stanowczej chwili! Sama nawet Hanka spała niespokojnie. Najwcześniej jednak zbudziła się nazajutrz matka Jana. Dłużej niż zwykle, modliła się, klęcząc na ławce pod oknem, a gdy Jan odchodził na zamek, odprowadziła go wraz z Hanką aż za wrota i pożegnała głośnem życzeniem, aby wrócił, dobre przynosząc nowiny.

— Dziś jeszcze będziemy wolni! — mówiła radośnie do synowej po jego odejściu.

— Dałby Bóg! — westchnęła Hanka, tłumiąc smutne jakieś przeczucie, które nie pozwalało jej cieszyć się na równi z innymi.

Ranek był cudny. Pod niebem bezchmurnem, kędyś wysoko, brzmiała pieśń skowronka, słońce poiło ziemię potokami światła. Zwabiony jego blaskiem, stary Przybek wysunął się do sadu za domem. Cisza panowała dookoła. Wszyscy mężczyźni byli na zamku, na nieszczęsnym onym zamku terhanowskim, z którego tyle utrapień i klęsk spłynęło na ich ojców. Ale dziś będzie inaczej. Tak przynajmniej wszystkie usta powtarzały wokoło. Jeden tylko Maciej nie rzekł i słowa, wybierając się w drogę, a stary jego ojciec rozmyślał z niepokojem, jak się to wszystko skończy? co wróżyła Chodom ona gwiazda na niebie?..

Podniósł zamyśloną głowę. Z chaty nadbiegła Maryna, nucąc i podskakując, niby ptaszek wesoły. Zamieniła słów kilka z dziadkiem i pomknęła dalej ku wzgórzu za obejściem, aby spojrzeć na świat Boży. Spojrzenia jej szły w jednym kierunku, — w kierunku Terhanowa, dokąd ojciec udał się wraz z poczynowskimi gośćmi, którzy najpierw do nich byli wstąpili. Przed chwilą zapytywała dziadka, kiedy wrócić mogą, teraz wypatrywała ich na drodze, zaczem, nie mogąc ustać w miejscu, przeleciała znowu przez ogród koło zamyślonego dziadka i wpadła do domu porządkować, ustawiać, sprzątać. Wszak dziś miał być u nich stary Szerłowski i to w tym celu, aby się jej oświadczyć w imieniu syna. Szepnął jej o tem młody wpierw, nim odszedł wraz z innymi na zamek. Od dziś więc stanie się jego narzeczoną, a po żniwach, wielki Boże! — mogliby się już pobrać... Na tę myśl robota wypadła jej z rąk... Stała tak chwilę cicha, zadumana, ze świecącemi oczyma, uśmiechając się bezwiednie do marzeń, cudnych, jasnych, jako promienie wiosennego słońca, które złociły jej długie warkocze płowe....

W tej samej chwili Marja Lammingerówna uciekała z parku zamkowego do swojej komnaty. Przyjemnie jej było przechadzać się dróżynami drobnym białym piaskiem usypanemi, wśród młodej zieleni krzewów, pod konarami drzew o wielkich pąkach liści, ale ciszę, panującą dokoła, poczęły mącić gwarliwe tłumy gości. Hrabianka aż się przelękła, gdy z pomiędzy klombów wyjrzała: wokoło murów parku, przed bramą zamkową, wszędy bieliły się jeno żupany, czerniały kapelusze o szerokich skrzydłach. Temu też śpiesznie z parku zemknęła.

Chodów zgromadziło się mnóstwo, młodych starszych i takich, co twarze mieli już zmarszczkami zorane, wszyscy jednak wyglądali raźnie i krzepko. Był to lud rosły, piękny, o błyszczących oczach, wyrazistych rysach, długich ciemnych włosach, aż na ramiona opadających. Przyszli tłumnie z całego Chodzka, wszak każdy rad był usłyszeć na własne uszy dobrą nowinę. Stoją w gromadkach mniejszych lub większych podług wieku, znajomości i wiosek. Najliczniej pospieszyli mieszkańcy Kleńcza, Postrzekowa i Ujazdu, lecz i dalsze wioski: Kiczów, Lhota, Poczynowice wysłały spore zastępy mężów. Najwięcej skupiło się ludzi i najgłośniejsza idzie pogwara tam, w końcu lipowej alei, wokoło Brychty i Ecla, inicjatorów pochodu zapustnego, który tyle narobił wrzawy. I teraz jeszcze ludzie za boki się trzymali, gdy Ecl opowiadał o tej krotochwili z właściwą sobie wesołością i dowcipem.

W samej bramie zamkowej umieścił się poważny, siwowłosy Krzysztof Hruby z synowcem swoim Koziną i kilku starszymi gazdami.

Wtem ukazał się włochaty wójt Syka, którego zawezwano najpierw do kancelarji pańskiej i skinął na tłum, wołając donośnym głosem:

— Pódźcież wartko hań na podwórze!

Jakoby wiatr powiał nagły lub tamy otwarto bystrej wodzie, tak tłum cały pogarnął się przez sklepioną bramę ku pałacowi, a na czele wszystkich Brychta, którego głos można było rozeznać nawet w tym gwarze i szumie. Podwórze zabieliło się we mgnieniu oka od żupanów. Chłop stał wedle chłopa, kapelusz dotykał kapelusza, tam i ówdzie czapka, tam i ówdzie błysk ciupagi okutej... W pierwszym rzędzie, naprzeciw okien położonej na pierwszym piętrze kancelarji, postawali wójtowie, Kozina, a dalej nieco Maciej Przybek, górujący ponad wszystkimi wyniosłą postawą, niby dąb w rozległym lesie.

Wszystkie oczy podniosły się ku kancelarji, skąd miały paść słowa tak wielkiej doniosłości, z tak gorącem pożądaniem oczekiwane. W zgromadzeniu mało było takich, którymby zwątpienie duszę mroczyło, a nawet i ci nieliczni nie ośmielali się ust otworzyć, widząc jaśniejące ufnością twarze. Syka, naprzykład, pojąć nie mógł, w jaki sposób ani Sztraus, ani Psutka nie powiadomili o zakończeniu sprawy. Ale sam nawet Kozina uspakajał go co do tego, tłumacząc, o ile szybciej wieści z Wiednia dochodzą na zamek.

Ha, za małą chwilkę wszystko się wyjaśni... Gwar głosów ustąpił miejsca stłumionym szeptom... Niektórym wzruszenie zamknęło już usta... Tam, na piętrze... coś mignęło.. Hajduk uchylił okno, wpierw jedno, potem drugie... Na prawo ukazał się jakiś pan w długiej ufryzowanej peruce, w czarnem odzieniu, z papierem w ręku, w ślad za tamtym wystąpił inny i stanął z prawej strony. Ma taką samą perukę, ale mundur świeci na nim od złotych wyszywań. To sam starosta Hora. Jednocześnie prawie z drugiego okna wyjrzał Lamminger. Maciej Przybek i wielu innych dostrzegło, jak złowrogi uśmiech przemknął mu po wargach, gdy wyblakłe jego źrenice spoczęły na licznym tłumie Chodów, w którym każdy człowiek, od pierwszego do ostatniego, szczerą pałał ku niemu nienawiścią.

Zapanowała cisza. Hora wezwał zgromadzonych, aby wysłuchali ze spokojem i przystojnością, co ma im oświadczyć w cesarskiem imieniu, zaczem skinął na sekretarza, a ten rozwinął papier i począł czytać. Kozina uczuł, że serce bije mu, jak młotem. Inni słuchali z zapartym oddechem, zaledwie ośmielając się okiem mrugnąć.

Sekretarz czytał najpierw o skardze, wniesionej przez Chodów i o wyznaczeniu komisji dla jej rozpatrzenia, a więc o rzeczach, ogólnie znanych — nie zaspakajało to więc palącej ciekawości. Ale o to nadchodzi chwila stanowcza — wyrok!... Po zgromadzeniu przebiegł dreszcz, niby iskra elektryczna...

D. c. n.



Słów kilka o Chińczykach i o nas.

Wypadki polityczne, które zaszły w „państwie niebieskiem“ w kilku ostatnich dziesiątkach lat dogasającego obecnie stulecia, zwróciły baczniejszą uwagę Europy na Chiny i Chińczyków. Szczególniej wojna japońsko-chińska i obecnie prowadzona pod przewodnictwem hr. Waldersee, przyczyniły się ku temu, że tak w prasie perjodycznej, jak i w oddzielnych wydawnictwach dzieje „Cesarstwa środkowego“, życie jego przeszłe i obecny stan, obyczaje i zwyczaje jego mieszkańców coraz głębiej i z najróżnorodniejszych punktów widzenia są rozpatrywane i rozważane. A państwo to środkowej Azji, w którem istnieje trybunał obrządkowy, wydający specjalne dekreta co do najdrobniejszych szczegółów w stroju, szczegółów, mających ogromną wagę, a których nie wolno nikomu, nawet samemu cesarzowi przekroczyć; gdzie całe życie, idącego po szczeblach hierarchji państwowej urzędnika, jest jednem pasmem... egzaminów; gdzie zapytanie o zdrowie sióstr, córek lub żony, o której w rozmowie salonowej przyjętem jest wyrażać się: „moja śmierdząca żona“, „moja kula u nogi“, — jest najwyższą impertynencją, a zapytanie o wiek tych osób jest uważanem za najgrzeczniejszy wstęp do rozmowy; gdzie najetykietalniejszą formą wyrażenia komuś swej sympatji jest ofiarowanie mu pary butów — otóż państwo to, od pierwszej chwili poznania jego za pośrednictwem opisu podróżnika weneckiego, Marca Pola z XIII. wieku, otoczyliśmy tajemniczemi mgłami... Dopiero w XIX. wieku mgły te stopniowo rozwiewać się poczęły i te przesądy, jakie, na podstawie niektórych dziwnych dla nas zwyczajów i obyczajów chińskich, o tym narodzie „żółtym“, wszechwładnie prawie do dziś dnia panowały w naszych przekonaniach.

Wyrażali się i wyrażają się nawet częstokroć dotychczas Europejczycy z przekąsem o Chińczykach, potępiając z góry ich zwyczaje i obyczaje jako „barbarzyńskie“, jeśli w swej formie nawet tylko sprzeciwiały się „ucywilizowanym“,

europejskim... Dwóch zdań o tej kwestji nie było. Śmieliśmy się z nich, że obiad zaczynają od deseru, kiedy my deserem kończymy, że w lecie piją gorące napoje, kiedy my pijemy mrożone, że piszą pionowo od prawej ręki ku lewej, gdy my — poziomo w kierunku przeciwnym, że symbolem żałoby jest u nich kolor biały, kiedy u nas czarny, że literatura ich istnieje bez abecadła, a język bez deklinacji i konjugacji.. Po za tymi „dziwactwami“ i „barbarzyństwami“, nie widzieliśmy u nich nic dodatniego. Obecnie jednak odpowiednio do prądów naukowych, nurtujących społeczeństwa nasze, zdobywamy się na tę objektywność, bezstronność, iż ośmielamy się instytucje, zwyczaje i obyczaje chińskie porównywać z naszemi — europejskiemi, „ucywilizowanemi“, tak rdzennie, zdaniem naszem, mającemi się różnić od tamtych — azjatyckich, „barbarzyńskich“...

To nasze „głębokie“ przekonanie o tej tak znacznej różnicy, wypływało z tego, że sądziliśmy o wielu ich zwyczajach i instytucjach, poprzestając li tylko na powierzchownej znajomości zewnętrznej ich strony, bez głębszego wniknięcia w istotę rzeczy. Potrzeba się wyzuć z narzuconych sobie sądów, z nałogów, aby rzecz jakąś osądzić sprawiedliwie. Co w pewnej określonej formie w jednych warunkach egzystuje i rozwija się, szerząc dokoła wpływ swój dobroczynny, toż samo i w tej samej formie, lecz wśród innych warunków ginie, często nawet okazuje wpływ ujemny na otoczenie. W tym ostatnim wypadku ratunek niejednokrotnie polega tylko na zmianie samej formy, częstokroć na bardzo dziwaczną i „barbarzyńską“ dla wielu...

A. Rémusat, znakomity znawca Wschodu, omawiając różne formy rządów azjatyckich, powiada: „Nie napotykamy nigdzie i prawie nigdy tego ohydnego despotyzmu i tej upadlającej niewoli, której genjusz złowrogi, według przyjętych u nas wyobrażeń ma się unosić nad całą Azją... Królów azjatyckich wzięto za despotów dla tego, że poddani przemawiają do nich na kolanach i, zbliżając się do nich, twarzą w proch się ścielą. Chwycono się pozorów dla tego, że nie umiano zgłębić rzeczywistości. Widziano w nich bogów ziemskich, gdyż nie umiano dostrzedz niezwyciężonych zapór, jakie woli ich stawiały religje, zwyczaje, obyczaje i przesądy.“

U najróżnorodniejszych plemion i ludów, zda się najbardziej od siebie szczepowo odbiegłych, są zwyczaje i instytucje, będące wyrazem ogólnoludzkich dążności, identycznych w swej zasadzie tak u „żółtego“, jak i u „białego“, wyłaniających się z głębi duszy ludzkiej, jako najszlachetniejsze jej porywy, a cisnących się siłą instynktu samozachowawczego i organizacji społecznej do swego urzeczywistnienia się, ku zamianie stanu swego *in potencia* — w czyn...

Chcemy tu zwrócić uwagę na dwie, że się tak wyrazimy, instytucje, które w Chinach od dawna istnieją, a które u nas dopiero w ostatnich paru latach powołane zostały do życia, a mianowicie: zawiązanie towarzystwa celem przeciwdziałania zgubnej namiętności do kart; instytucje teatru i uniwersytetu ludowego.

Uniwersytet ludowy, uważany za instytucję, zawdzięczającą swój początek i rozwój „zachodowi“, który się tak szczyci swoją cywilizacją; a jednak o wiele wyprzedziły ów zachód — Chiny... U nas dopiero w roku b. jeden z korespondentów krakowskich, zdając sprawozdanie z działalności uniwersytetu ludowego im. Mickiewicza, wygłosił słuszne zdanie, „że fakta i rzeczywistość przemawiają tak kategorycznie na korzyść tej formy oświaty, że polemika zasadnicza, co do ich potrzeby albo „przedwczesności“, byłaby dziś poprostu anachronizmem“, — a jednak z jakiemi trudnościami przychodzi się walczyć tej instytucji...

O. Huc misjonarz, który w roku 1846 zwiedził Chiny, tak opisuje pewien zwyczaj chiński, który się da porównać z naszym uniwersytetem ludowym: „Ów właśnie zwyczaj, tak dobry i chwalebny sam w sobie, polega na tem, iż t. zw. *szuo-szu-ti*, t. j. „lektorowie publiczni“, których klasa jest bardzo liczna, przebiegając wsie i miasta, odczytują ludowi najbardziej interesujące i najdramatyczniejsze ustępy z jego historji narodowej, dodając do nich zawsze komentarze i uwagi“.

„Ci lektorowie publiczni — pisze dalej O. Huc — mają zwykle niezłą swadę, a częstokroć są bardzo wymowni. Chińczycy z rozkoszą słuchają ich rozpraw; grupują się dokoła nich po placach publicznych, na ulicach, przy wejściach do trybunałów i pagód i na sam widok ich fizjognomji łatwo zrozumieć, jak żywo ich zajmują te opowiadania historyczne“.

Lektor zatrzymuje się czasami w ciągu posiedzenia, aby spocząć trochę i korzysta z tej przerwy, żeby coś ukwestować, gdyż nie ma on innego dochodu, oprócz sapeków,ofiarowywanych mu przez chętnych słuchaczy. W owym więc kraju despotyzmu i tyranji — w Chinach, mamy instytucje, które u nas jeszcze dziś ciężko walczyć muszą o swój byt. „Jesteśmy przekonani — pisał w roku 1862 tenże O. Huc, — że pewne narody, daleko posunięte w ideach liberalnych, przeraziły by się, gdyby u nich chciano zaprowadzić zwyczaj podobny“.

Również mają Chińczycy i teatry ludowe. Przedstawienia w tych teatrach rozpoczynają się nader późno, a to ze względu, iż są przeznaczone dla amatorów klasy robotniczej, którzy tylko noc mogą poświęcić przyjemności znajdowania się na komedji.

Swobodę stowarzyszania się posiadają Chińczycy w pełnej mierze i bez żadnych zastrzeżeń, z wyjątkiem tajnych stowarzyszeń, mających na celu obalenie dynastji mandżurskiej. Zdolność stowarzyszania się, tworzenia korporacji t. zw. *houi*, rozwinęli w sobie Chińczycy w znacznym stopniu. Nie tylko przemysłowcy i handlarze, lecz

nawet złodzieje i żebracy organizują się w stowarzyszenia, zawiązywane zwykle podczas uczty.

Chociaż gra w Chinach jest zabroniona, jednakże grają tam wszędzie z namiętnością, która z niczem porównać się nie da. Otóż, opisuje w innem miejscu swych podróżniczych notatek O. Huc: „pewna wieś, granicząca z naszą misją, niedaleko wielkiego muru, sławna była ze swoich graczów z profesji. Pewien naczelnik rodziny, sam gracz taki jak inni, powiedział sobie pewnego dnia, że wieś trzeba zreformować i nawrócić graczy. Rozesłał więc zaproszenia do celniejszych mieszkańców na ucztę. Pod koniec uczty zabrał głos i po kilku uwagach nad szkodliwością gry, zaproponował swoim gościom utworzenie stowarzyszenia, mającego na celu wykorzenić grę we wsi. Propozycja wywołała zrazu zdziwienie, ale po dojrzałej rozwadze została przyjęta. Sporządzono akt, podpisany przez wszystkich stowarzyszonych, którym zobowiązano się nie tylko nie grać, ale czuwać nad wsią i grających, schwytanych na gorącym uczynku, odstawić do trybunału, aby tam ponieśli karę, przepisaną przez prawo. Zawiadomiono mieszkańców wsi o istnieniu stowarzyszenia i ostrzeżono wszystkich, że działanie jego rozpoczyna się zaraz“.

„W kilka dni potem trzej najzapaleńsi gracze, którzy nie brali zapewne bardzo na serjo zakazu swoich współobywateli, zostali schwytani z kartami w ręku. Związano ich natychmiast i sześciu członków stowarzyszenia zaprowadziło ich do trybunału miasta sąsiedniego, gdzie zostali osmagani bez litości i skazani na znaczne grzywny. Bawiliśmy dość długo — mówi o sobie i o swoim towarzyszu O. Huc — i mogliśmy się przekonać własnemi oczyma, jak dalece środek ten skutecznie wpłynął na poprawę obyczajów we wsi. Pomyślne skutki stowarzyszenia tak się spodobały w sąsiedztwie, że na wzór tego utworzyło się kilka stowarzyszeń w okolicy“. *Henr. U.*

Nieogłoszone wiersze Antoniego Goreckiego.

Czy to ptak, czy to ryba?

przez

Antoniego Goreckiego.

Widząc okręt parowy, muchy się kłóciły,
Czemby on był? „To ryba, jedne z nich mówiły,
Wielka ryba, co sobie ma upodobanie,
Że tak widocznie pływa wciąż po oceanie“.
„Nie, to ptak, inne rzekły, z jaskółek rodzaju“,
I w zdaniu, ptak czy ryba, dzieląc się na dwoje,
Ciągiem się z sobą kłócą brzęczących much roje.

Jak tym muchom i naszym zdarza się uczonym
Nieraz w jakimś przedmiocie, przez nich upatrzonym,
Czem on jest, kłócą z sobą, sprzeczają się w gniewie,
A żaden z nich prawdy nie wie.

Nepomucen Janowski przyjmie odemnie łaskawie ofiarowanie mu tej powiastki, na pamiątkę naszego współtułactwa.

Paryż, 9, listopada 1860 r.

Do księży.

Zewsząd was, księża, świat pochwałą darzy,
Kmiotków pić wódkę żeście oduczyli,
Teraz się tem zająmijcie: oduczcie mocarzy,
Żeby krwi ludzkiej nie pili.

Paryż, 12. października 1860.

Do Wł. Zamoyskiego.

(na pokój, 1856 r. zawarty).

Zamoyski, czemuś cicho nie umiał wejść w szranki?
Na co Tobie drukiem głosić odkazanki,
Wołać: „Idę z kozaki“, bardzoś w tem przewinił
Ot, widzisz, Moskal zląkł się i pokój uczynił.

Paryż, około 30. września 1860.

Z pism i książek.

Dr. Zygmunt Gargas. — Handel obnośny a państwo. W Krakowie. — Spółka wydawnicza polska 1900. Różne koleje przechodził rodzaj handlu, narzucający się konsumentom wprost w ich domach i gospodarstwach bez pośrednictwa producentów, ani też kupców, t. j. handel obnośny. Doniosłość jego i użyteczność, zwłaszcza dla drobnych gospodarstw raz uznawano, drugi raz zaprzeczano namiętnie, a ustawodawstwo i czynniki państwowe niejednokrotnie wyrzekają jego zniesienie, ograniczają jego działalność za pomocą osobnych ustaw, ograniczeń policyjnych etc. Trwałość jednak tej formy handlu i faktyczna jej potrzeba dozwalają jej nawet, mimo niechęci większych kupców, wzrastać i rozszerzać się w interesie konsumentów. I oto dziś, mimo nader ułatwionych środków komunikacyjnych i nadzwyczajnej łatwości pośrednictwa między konsumentem a producentem wprost, handel obnośny istnieje, rozwija się, a nawet ciałom parlamentarnym i różnym specjalnym komisjom przemysłowym wiele daje do czynienia,

Co to jest handel obnośny? Zaglądnąwszy do pierwszego lepszego podręcznika ekonomji społecznej, znajdziemy tam następującą definicję: „Handel obnośny, czyli domokrążny, jestto małe gospodarstwo osób, które nie posiadając sklepów stałych, roznoszą po domach tej samej, lub okolicznych miejscowości towary bardzo tanie, lub stare". Z kilku uwag, poświęconych tej definicji dowiedzieć się można nadto, że handel obnośny rozpościera swą działalność przedewszystkiem na strony, dla których zetknięcie bezpośrednie byłoby, albo trudne, czy kosztowne, albo wcale niemożebne, i że wreszcie gospodarstwo społeczne na handlu obnośnym nie ponosi strat żadnych, zwłaszcza, że od nadużyć chronią je surowe ustawy specjalne.

Handel obnośny jednakowoż, jako instytucja ekonomiczna w skutkach swoich i czynnościach, nie może być ograniczony wyłącznie tylko na pole gospodarstwa społecznego, ale jak z jednej strony opiera się o prawodawstwo socjalne, tak z drugiej znowu strony zawisł w znacznej mierze od skarbowości i administracji państwa.

Skreślić te wielorakie stosunki handlu obnośnego i zawisłość jego od państwa, stało się zadaniem książki dr. Zygmunta Gargasa. Znajdujemy w niej monografję handlu obnośnego, opracowaną w najdrobniejszych szczegółach, wytyczenie wszystkich kierunków i interesów społecznych, ścierających się na polu domokrąztwa. A nie potrzeba zapominać, że w handlu obnośnym więcej, niż gdzie indziej, wchodzą w grę sprzeczne interesy konsumentów a producentów, którzy to ostatni, jako ekonomicznie silniejsi, niejednokrotnie siłą samego faktu i przemożnym wpływem swoim ujemnie na rozwój domokrąztwa działają.

Monografja dra Gargasa jednoczy i sumuje te wszystkie czynniki, a dodając nadto historję domokrąztwa i materjał statystyczny, tem więcej jest obecnie aktualną, że w tekach ministrów austrjackich spoczywają projekty stanowczego unormowania handlu obnośnego, wyczekujące jaśniejszego horyzontu parlamentarnego. Dr. Gargas w samej istocie i pojęciu handlu obnośnego nie odkrywa nowych dróg, ani nowych teorji, któreby całą instytucję na nowe popchnąć mogły tory, lub mogłyby wywołać nad nią dyskusję choćby teoretyczną, ale za to z nadzwyczajną sumiennością i erudycją sumuje wszystko co do dnia dzisiejszego o tym handlu napisano, i na jego korzyść lub zgubę zdziałano, rozbierając krytycznie nie tylko opinje ekonomistów, od J. B. Say'a począwszy, aż do Leroy Beaulieu, ale także i odnośne ustawodawstwo, specjalnie austrjackie, wraz z projektem nowej ustawy, jeszcze nie uchwalonej. Żałować by wypadało tylko, że dr. Gargas nawet w ugrupowaniu materjału statystycznego stał na stanowisku ściśle austrjackiem, popierając swe tezy datami ze wszystkich austrjackich krajów koronnych, chociaż w dziele, tak rzadkiem w literaturze polskiej, należało by ze szczególną pieczołowitością uwzględnić stosunki polskie i to nietylko galicyjskie. Dało by to z pewnością monografji tej szersze znacznie podstawy, a dla szczupłej ekonomicznej literatury polskiej było by ważnym i drogocennym nabytkiem.

Tak zaś, jak dr. Gargas pojął swoje zadanie, jest książka „Handel obnośny, a państwo" aktualnym przyczynkiem do kwestji handlu domokrążnego, ale wyłącznie tylko odnośnie do austrjackich stosunków.

F. Jaworski.

Z ruchu społecznego.

W całych Niemczech istnieje, jak wiadomo, przymus szkolny. W związku z nim obowiązuje prawo, wzbraniające zatrudniania w fabrykach dzieci niżej lat 14-tu. Mimo to jednak znaczna ilość dzieci oddaje się pracy zarobkowej poza godzinami szkolnemi. Dla zbadania stanu rzeczy zarządzono w r. 1898 z polecenia rządu ankietę, która do dość smutnych odkryć doprowadziła. Liczba dzieci szkolnych, zatrudnionych w różnych gałęziach pracy, wynosi 544,282 przyczem wyłączono jeszcze dzieci pracujące w polu na wiosnę, latem i jesienią. Że praca tych dzieci jest przeważnie wyzyskiwana, że dzieci w porze, kiedy powinny zapas sił na resztę życia gromadzić, siły te nadwerężają; jestto okoliczność, której łatwo domyśleć się można. Pracą małoletnich posługują się pracodawcy głównie przez oszczędność. Największa ilość pracujących dzieci przypada na wielkie miasta i okręgi przemysłowe o silnie rozwiniętym przemyśle domowym. I tak np. w ks. Gotha 29 prc. dzieci szkolnych pracuje zarobkowo, w Saksonji 22 prc., w Berlinie 12,83 prc. Prócz przemysłu, który zatrudnia 206,823 dzieci, rolnictwa, w którem przypuszczalną ilość dziatwy pracującej obliczają na 30.000, spełniają zarobkujące dzieci następujące funkcje. W handlu domokrążnym pracuje ich 3,524, przy przewożeniu towarów (jako t. zw. Rollmöpse) 1,376, przy ustawianiu kręgli 12,748, roznoszeniu pieczywa 42,837, roznoszeniu gazet 45,603, jako chłopcy do posyłek 35,909. Czwarta część tych młodych pracowników ma 6—10 lat. Naturalnie, zarobki ich są bardzo nizkie. Przy fabrykacji guzików (w księstwie gotajskiem) zarabiają 4—5 f. dziennie, przy fabrykacji lalek 10—12 f., przy wyrobach z papieru 4 f. Są to najniższe zarobki. W pewnych gałęziach pracy podnoszą się one do 50 f. wyjątkowo zaś do 80 f.

Inspektorowie fabryczni jednomyślnie prawie wypowiadają zdanie, że szkody, płynące z wyzyskiwania sił dzieci są tak wielkie, iż żadne materjalne korzyści zrównoważyć ich nie mogą.

Opinja publiczna w Niemczech oświadcza się przeciw pracy dzieci i chętnie poprze każde prawo, dążące do rozciągnięcia istniejącego dla fabryk zakazu także na przemysł domowy i inne gałęzie zarobkowania.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego, Lwów ul Kopernika 5.